WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA W KRAKOWIE WYNOSI:
DO KOŃCA ROKU 4 KORONY.
NUMER POJEDYŃCZY 20 h.
20 CENTIMÓW, 20 FENIGÓW, 10 KOP.

GŁOS
LITERACKI I SPOŁECZNY.

WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA ZAMIEJSCOWA WYNOSI:
DO KOŃCA ROKU 5 KORON.
ZA GRANICĄ — 5 MAREK, 5 FRANKÓW ALBO 2 RUBLE.

Wydawca: KONSTANTY WOŹNIAK.
Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7.
Telefon Nr. 309.
Redaktor: KAZIMIERZ EHRENBERG.

ZŁOTA PRAGA.

Za kilkanaście dni reprezentanci polskich i chrześcijańskich rękodzielników naszego kraju staną na czeskiej ziemi, w sercu tej słowiańskiej bojującej dzierżawy, aby w obliczu wiekowych pamiątek dziejowych bratniego narodu stwierdzić ponownie pokrewieństwo ducha i myśli polskiej i czeskiej, aby w naradach nad wspólną pracą dla wspólnego przyszłego dobra utrwalić ideę słowiańskiego braterstwa i wspólnej naszej przyszłości. Zjazd rękodzielników słowiańskich z całej Austryi, który się odbędzie w Pradze z końcem września b. r. jest jakby odpowiedzią na zeszłoroczny zjazd rękodzielników w Wiedniu, gdzie najwyższem prawem były interesy niemieckiego rękodzielnictwa a przewodnią zasadą stary duch centralizmu tym razem ustrojonego w piórka pracy społeczno-samodzielnej.



Zamek królewski i katedra na Hradczynie.

Słowiańscy rękodzielnicy i mieszczanie w Austryi mieli i mają święty obowiązek nietylko zaprotestowania przeciw narzucaniu krajom i społeczeństwom o różnej kulturze i różnym stopniu industryi centralistyczno-niemieckiego ustawodawstwa przemysłowego, ale także obowiązek okazania własnej żywotności, poczucia siły i mocy własnej i chęci radzenia o sobie samych wedle wymogów, własnych potrzeb i interesów.

To też z radością witamy ideę słowiańskiego zjazdu rękodzielników w Złotej Pradze z radością tem większą, że zjazd ten ma rodzinną i chrześciańską cechę, nie zatrutą ani zgubnym posiewem żydowstwa ani niszczącem tchnieniem germańskiej zachłanności.

Chrześcijański i narodowy charakter zjazdu, nie dziw, że wywołał liczne protesty: w Krakowie ze strony tych samych, którzy z hałasem i przesadą protestowali przeciw zjazdowi rękodzielników w Wiedniu, powołując się na swój (dość wątpliwy) słowiańsko-polski patryotyzm, a we Lwowie ze strony, sławnych na cały świat ze swej głupoty i zacofania, kołtunów, zdemoralizowanych przez żydów i naszych demokratów wysługujących się żydom na wyskoki.

Głosy, jakie słyszeć się dały na wiecu rękodzielników we Lwowie przeciw zjazdowi w Pradze, są po prostu czemś niesłychanem. Wszak jakieś indywiduum argumentowało, że zbliżenie się polskich rękodzielników do czeskich nie jest wskazanem dlatego, ponieważ Czesi są ekonomicznie potężniejsi, tymczasem zdrowy chłopski rozum wskazuje, że zbliżenie się zgodne i braterskie, społeczeństwa ekonomicznie słabszego do ekonomicznie silniejszego dla celów pracy produkcyjnej, dla podniesienia poziomu wytwórczości, właśnie tylko temu słabszemu społeczeństwu może wyjść na korzyść. To samo indywiduum prawiło o niebezpieczeństwie majoryzowania naszego przemysłu przez przemysł czeski w chwili, gdy faktycznie wyroby galicyjskie już nie majoryzowane ale wprost znihilowane zostały przez wiedeńsko-żydowską tandetę. Cóż jednak robić — gdzie drwa rąbią, trzaski lecą. Zdemoralizowanym i głupim dziwić się trudno, trzeba ich żałować, nawracać, rozświetlać ich zakute pałki a tymczasem kroczyć nieustraszenie i wytrwale po raz obranej drodze przekonania i narodowego obowiązku z ufnością we własne siły i moc dobrej woli.

To też całemu polskiemu patryotycznemu mieszczaństwu, które ochotnie wyciąga rękę ku życzliwym pobratymcom, należy się serdeczne uznanie za ten pierwszy ważny krok ku zespoleniu ekonomicznych sił słowiańskich ludów w Austryi, przeciw żydowsko-niemieckiej spekulacyi, pracującej od lat dziesiątek nad zrujnowaniem zwłaszcza polskiego rękodzielnictwa.

„Głos“ dzisiejszy podaje kilka widoków złotej Pragi, bratniej słowiańskiej metropolii w Austryi, równie poważnej, pięknej, rzewnej i dumnej dziejową przeszłością jak nasz ukochany prastary Kraków.

Godzi się uczcić stary słowiański nadwełtawski gród przypomnieniem, bodaj w ogólnych zarysach, znamienitych momentów z jego przeszłości, która przylgnęła z całym majestatem cichego cierpienia i rozgwarnych tryumfów do starych ścian murów, domów, kościołów, do kamieni i drzew, tej przeszłości, której duchy cichemi nocami płyną z tajemniczym szelestem między niebem a ziemią albo gwarzą młodym patryotycznym duszom rycerską pieśń z fal wartkiej Wełtawy.

Wedle podania założyła złotą Pragę w VIII wieku po Chr. pierwsza księżna czeska Libusza. Był to pierwotnie obronny zamek na Wyszehradzie; odtąd też obrali sobie Pragę za stolicę czescy kniazie a później królowie. Już w 11 wieku wcisnęli się do Pragi Niemcy i na miejscu dzisiejszego niższego nowego miasta założyli swoją kolonię, ukradłszy, jak zwykle, rdzenną słowiańską ziemię, ażeby później łgać o „historycznych niemieckich prawach“. W roku 1235 część Pragi zwana „starem miastem“ otrzymała prawo magdeburskie, postawiono warownie i w roku 1257 obwarowano również t. zw. „małą stronę“. Hradczyn natomiast trwał jako siedziba i dzierżawa królewska. Stare miasto wkrótce zaczęli zalewać żydzi, wzmacniając jak wszędzie przeciwtubylczy żywioł niemiecki.

Król Ottokar II. z zapałem starał się o powiększenie i upięknienie Pragi jako stolicy kraju, on też przebudował i rozszerzył stary zamek królewski. W roku 1348 cesarz Karol IV. założył dzielnicę „nowe miasto“ i wyposażył ją w liczne budowle, kościoły i klasztory. Tenże sam cesarz Karol IV. wybudował nowy zamek królewski na Hradczynie, w roku 1344 położył kamień węgielny pod arcydzieło gotyku, katedrę św. Wita. Karolowi IV zawdzięcza Praga utworzenie arcybiskupstwa oraz założenie uniwersytetu w roku 1348.

Ponad uroczą kotliną wśród wzgórz, gdzie legła na chlubny byt dziejowy złota Praga, szalały często groźne i ciężkie nawałnice krwawych bojów i wojen domowych. To też padały i wstawały kolejno z gruzów pomniki chwały i wielkości narodowej, a wstawały coraz piękniejsze, okazalsze, coraz bardziej świadome tłomacze narodowej czeskiej idei.

W roku 1410 podczas wojen husyckich uległa mała strona prawie zupełnemu zniszczeniu, tożsamo stało się z zamkiem wyszehradzkim w roku 1420 po bitwie na t. zw. polach Pankracego. Ten sam rok pamiętny jest zwycięstwem Żyżki i jego fanatycznych, patryotycznych zastępów nad knechtami cesarza Zygmunta. W roku 1424 wkroczył Żyżka do Pragi, która sama mu się poddała a fanatyzm religijny nie tak łatwo dał się powstrzymać w jego żywiołowych wybuchach. Więc też ucierpiała wiele złota Praga!

Do najwyższego stopnia rozkwitu wzbiła się Praga za czasów Jerzego z Podiebradu i za królów z naszej jagiellońskiej dynastyi. Za Rudolfa II i Macieja (1576—1619) była Praga jakoby stolicą monarchii habsburskiej. W Pradze też wzięła swój początek wojna trzydziestoletnia (od wyrzucenia oknem na ulicę przez wzburzony tłum namiestników cesarskich). Dnia 8 listopada 1620 o milę od Pragi na Białej Górze rozegrała się sławna w dziejach mordercza bitwa między Fryderykiem V z Palatynatu a cesarzem Ferdynandem II habsburskim, zakończona zwycięstwem ostatniego a w ślad za tem zdobyciem Pragi. Bitwa ta dla przyszłych dziejów czeskich miała niepospolite znaczenie; padła tam prawie cała szlachta czeska, co oddziałało niezawodnie korzystnie na jednostajny i jednolity rozwój idei patryotycznych, które zwykle tamują zbyt jaskrawe przeciwieństwa klasowe.

Później wrzały jeszcze około Pragi wojny: austrjacka sukcesyjna, podczas której (w roku 1714) zdobyli Pragę Francuzi i Bawarowie i wojna siedmioletnia (1757), w której cesarz Fryderyk Wielki oblegał w Pradze księcia Karola Lotaryńskiego.

Z końcem maja 1848 zebrał się w Pradze pierwszy powszechny kongres słowiański. Polaków reprezentowali: Fran-



Most Karola w Pradze, widok na Hradczyn.

ciszek Smolka i ks. Lubomirski. Obradowano już wówczas nad kwestyą sojuszu ludów słowiańskich przeciw Niemcom. Kongres ten atoli obrad do końca nie doprowadził; wybuchła rewolucya uliczna w dniu 11 czerwca w Pradze położyła kres teoretycznym dysputom. Na ulicach Pragi wołano wówczas: Śmierć Niemcom, niech żyje lud czeski, niech żyje Słowiańszczyzna!"

Wojska austryackie pod wodzą Windischgrätza bombardowały wówczas Pragę przez 48 godzin.

Dzisiejsza Praga jest wielkiem miastem, trzeciem z rzędu w całej monarchii, (Wiedeń, Peszt, Praga) siedliskiem nadzwyczaj ożywionego ruchu naukowego i literackiego, ogniskiem kulturnego życia Czechów a przytem prawdziwem sercem czeskiej Ojczyzny. Obok tego pod względem ruchu przemysłowego i produkcyjnego Praga jest perłą monarchii. W mieście tem wszystko ma cechę narodową i patryotyczną, wszystko tam jest świadome i silne w sobie, zahartowane w walce, do walki gotowe w obronie swoich praw przeciw niemieckiej inwazyi. Pobyt w Pradze bodaj kilkudniowy napełnia zwłaszcza nas Polaków, otuchą, dodaje odwagi, budzi z uśpienia, drzemiącą często w ucisku codziennych walk i trudów, polską duszę...

Praga wraz z przedmieściami liczy 358.162 mieszkańców z tego jest 5/6 Czechów a tylko 1/6 Niemców do których oczywiście przyznają się wszyscy żydzi. Cóż zatem mówić o bezczelności tych Niemców, którzy mają duże pretensye do rządzenia się w Pradze!? — Samo miasto ma 182.530 mieszkańców: 146.066 Czechów, 27.125 Niemców i 17.635 żydów.

O zamożności stolicy czeskiej niechaj dadzą wyobrażenie niektóre cyfry pochodzące z r. 1893 a odnoszące się do gminnej gospodarki. Dochody wynosiły w tym roku 17,568.015, wydatki 8.295.579, dług gminy wraz z długiem funduszu szkolnego 17,978.964, czysty majątek gminy 5,471.682 zlr. Z wydatków wypadało: na zarząd miasta 624.427, na cele wspierania ubogich 698.775, **na cele szkolnictwa 1,438.485 zlr.**! Ta ostatnia cyfra jest kluczem do rozwiązania zagadki w jaki sposób lud czeski do niedawna jeszcze prawie zupełnie przez Niemców zduszony, wzmógł się tak na siłach, że dziś jest najsilniejszym i najwięcej świadomym ludem słowiańskim w Austryi.

Pamiętam zawsze i na zawsze cichy wiosenny dzień, w którym po długiej tułaczce za granicą, smutny niejednym zawodem jaki zgotowało życie rozigranej młodzieńczej fantazyi, cichy pragnieniem ujrzenia swoich — zatrzymałem się w przejeździe w złotej Pradze. Nieopisana rzewność ogarnęła wszystkie władze mej duszy, w otoczeniu wartkiego słowiańskiego życia i myślenia, poczucie braterstwa z ludem czeskim i siły płynącej z tego pobratania wydało mi się ideą wielką, ideą przyszłości, która spiżem zasłoni piersi słowiańskich ludów przed mętną falą niemieckiej przemocy i niemieckiej kultury.

I kiedy przebiegałem w blasku jasnego wiosennego słońca po ulicach i uliczkach złotej Pragi, nie opuszczała mnie ani na chwilę ta myśl piękna, bogata i silna w sobie...



Muzeum króla czeskiego w Pradze.

Wieczorem tegoż dnia wracając z Hradczynu zatrzymałem się na moście Karola, obok tablicy oznaczającej miejsce, skąd św. Jan Nepomucen miał być na okrutny rozkaz króla Wacława zrzucony do Wełtawy. Wedle legendy zwłoki św. patrona Czech nie zatonęły a pięć złotych gwiazd otoczyło wiankiem głowę świętego męczennika.

Słońce zachodziło — siwe mgły otulały złotą Pragę, a urocza Wełtawa tysiącem barw się stroiła na pożegnanie dnia...

Przypomniałem sobie wówczas jak teraz ową przepiękną legendę, tak podobną naszej o męczeństwie św. Stanisława!

Czyż słowami legendy nie przemawia do nas wielka idea narodowego życia? Rzucają tyrany w nurty rzek, o głazy więzień i na płonące stosy głosicieli prawdy i sprawiedliwości, zamykają usta prorokom ludu kamienną pieczęcią śmierci, a przecież żyją prorocy i żyje ich prawda i mówi milczeniem swojem wszystkim pokoleniom, czem są i czem być powinny... W nurty Wełtawy rzucony trup bożego męża nie ożył... ale nad jego głową zajaśniało pięć złotych gwiazd...

Długo nie mogłem oderwać oczu od widoku miasta zapadającego w mrok nocy i od blasków zachodu gasnących na niebie i na ziemi; wsłuchiwałem się w szum fal pod mojemi stopami... tyle już dziejów, tyle łez i krwi uniosły ze sobą te fale!

Myśli moje spłynęły w serdeczny, zgodny hymn z tem wszystkiem, co mnie otaczało, a przez rozrzewnienie przebijała się z duszy cicha jakaś radość, że nasz stary, piękny, smętny Kraków ma taką uroczą, dumną siostrzycę — złotą Pragę!

Dr. Włodzimierz Lewicki.

Epopeja Grunwaldu.

Druk wspaniałej powieści Henryka Sienkiewicza na tle grunwaldzkiego pogromu jest już ukończony. Za kilka dni opuści już prasę wielkie dzieło znakomitego pisarza i będzie się mogło znaleść w rękach wszystkich. W jednym z najbliższych numerów pomieścimy krytykę „Krzyżaków". Dziś dajemy czytelnikom dwa piękne urywki tekstu powieści, wraz z ilustracyami do nich, wykonanemi przez Batowskiego.

Oto wspaniały ustęp o walce polskiego rycerza Juranda z przemocą krzyżacką. Córkę Juranda Danusię porwali Krzyżacy, aby zemścić się w ten sposób na Jurandzie, który był postrachem krzyżackiej czerni. Jurand udaje się osobiście do Krzyżaków, upokarza się i błaga o to, aby oddali mu córkę:

„Wstawszy z klęczek Jurand, szedł zgięty we dwoje ku Danveldowi, jakby chciał mu objąć kolana; oczy błyszczały mu prawie szaleństwem, a głos łamał mu się naprzemian bólem, trwogą, rozpaczą i groźbą. Danveld zaś, słysząc wobec wszystkich zarzuty zdrady i oszustwa, począł parskać nozdrzami, wreszcie gniew buchnął mu na twarz, jak płomień, więc chcąc do reszty zdeptać nieszczęśnika, posunął się również ku niemu, i pochyliwszy się do jego ucha, szepnął przez zaciśnięte zęby:

— Jeślić ją oddam — to z moim bękartem...

Lecz w tej samej chwili Jurand ryknął jak buhaj: obie jego dłonie chwyciły Danwelda i podniosły go w górę. W sali rozległ się jeszcze przeraźliwy krzyk: „Oszczędź!!" — poczem ciało komtura uderzyło z tak straszną siłą o kamienną podłogę, że mózg z roztrzaskanej czaszki obryzgał bliżej stojących Zygfryda i Rotgiera.

Jurand skoczył ku bocznej ścianie, przy której stały zbroje, i porwawszy wielki dwuręczny miecz, runął jak burza

„Psubraty".

Powieść na tle stosunków współczesnych.

(Ciąg dalszy.)

— Naturalnie wysłaliśmy najzdolniejszych ajentów natychmiast — mówił komisarz; — zdawało się, że mamy oba ptaszki w ręku. Niestety okazało się, że są one więcej przewidujące niż się spodziewaliśmy. Na domiar złego, wszystko nam zepsuł Bank, który oświadczył, że ponieważ przestępstwa osób mających podnieść depozyt, nic ze sprawą tego depozytu wspólnego nie mają, przeto jedynie pod tym warunkiem gotów jest oddać nam je w ręce, jeżeli aresztowanie dokonane zostanie po za obrębem gmachu bankowego i dopiero po podniesieniu depozytu; musieliśmy się na to zgodzić radzi nie radzi — za późno spostrzegliśmy się, że właśnie na tej uprzejmości naszej zbudowano cały plan ucieczki.

— A więc uciekli! zawołał Opowski, któremu nagle w tej chwili przez myśl przeszło tylko to, że piękna Janinchen ma obecnie w ręku okrągły milion i że będzie szkoda, jeśli ten milion przepłynie przez ręce innego mężczyzny.

— Tak, panie, uciekli, szkaradnie uciekli. My mamy w ręku tylko jednego faktora oraz wynajętą pannę z ulicy. Ludzie ci zostali podsunięci przez nieznajomego żydka do podniesienia pieniędzy na podstawie legitymacyj Gottlieba Müllera oraz Izabelli Finländer. Tajemniczy żydek towarzyszył im niepostrzeżenie do Banku, odebrał od nich natychmiast przy kantorze pieniądze i legitymacye tak zręcznie, że tego ajenci czuwający w sali nie spostrzegli i znikł jak kamfora zanim zdążyliśmy pochwycić tych, których możemy ukarać tylko krótkim aresztem za podszywanie się pod cudze nazwiska i legitymacye.

— I cóż opowiadają aresztowani! Przecież trudno uwierzyć, aby żydek który ich wynajął, był im całkiem nieznajomy.

— A jednak zdaje się że tak jest. Faktor dostał z góry 500 reńskich honoraryum, z czego pannie dał trzydzieści. Owe trzy dziesiątki znaleźliśmy przy niej; w mieszkaniu faktora, po za obiciem, odnaleźliśmy pięć setek. Z tego cośmy zdołali stwierdzić przez śledztwo, istotnie kilka dni temu, zjawił się u aresztowanego człowieka obcy mu żydek, i konferował z nim godzinami. Dobijali zapewne targu o załatwienie interesu. Wszelkie jednak usiłowania znalezienia śladów tego żydka nie zdały się na nic. Faktor opowiada nam jedynie, że chciał się z własnej ciekawości dowiedzieć kto to mogli być ci państwo, którzy pieniędzy sami podnieść nie chcą. Śledził więc pewnego dnia owego żydka i widział jak wchodził do jednego z pałaców na Parkringu. U odźwiernego dowiedział się, że istotnie w tym pałacu mieszkał pan Gottlieb Müller z córką; w ten sposób trafiliśmy na ślad mieszkania, które już zastaliśmy opróżnione. Państwo wyjechali właśnie dzień przedtem za granicę. Od służby nie wiele mogliśmy się dowiedzieć prócz tego, że ów nieznajomy żydek był jakimś nibyto nauczycielem, który przychodził na jakieś lekcye; relacye zaś o innych gościach Müllerów nie przedstawiały nic ciekawszego ani znamienniejszego. Dla bezpieczeństwa poleciłem dostawić każdego, ktoby się w najbliższych dniach o Müllerów pytał. To było powodem nieprzyjemności, jaką panu musiałem zrobić, przewidując, że wyjazd za granicę nastąpił bez uwiadomienia znajomych....

— Wspomniałeś pan o tem także że Gottlieb Müller jest posądzony o zdradę stanu. Cóż to jest takiego?

— A, to jest najświeższe. Według zeznań służby, Müllerowie odjechali na pociąg berliński. Pchnęliśmy więc natychmiast agenta, aby jechał ich śladem. Ślad prowadził do naszego Berlina i tu się urwał. Ale za to o osobie Gottlieba Müllera dowiedział się nasz agent od berlińskich towarzyszy zawodu, tylu ciekawych szczegółów, że rzuciły one zupełnie nowe światło na zapomnianą już sprawę sprzedaży tajemnic wojskowych, w której jak się teraz dopiero okazało, Müller odegrał główną rolę. Ale jestem w tej sprawie zmuszony do absolutnej tajemnicy....

— To mnie tylko dziwi, — rzekł Opowski — że Müllen mieszkał przez czas tak długi w Wiedniu pod własnem nazwiskiem. Jakże to mogło być skouo mieliście zwuóconą już na niego uwagę, jako na wspólnika Finländeuowej przy spuawie depozytu w Unjonbanku?

— Müllerów w Wiedniu jest ogromne mnóstwo; pan Gottlieb zaś był na tyle ostrożny, że na meldunkowej karcie podał inne imię: „Gustaw Müller, kapitalista, z córką". Gdyby nawet wpadła nam w ręce ta karta, nie byłaby nas niczem uderzyła. Ale ta kartka nawet wcale nie była w biurze kryminalnem, mimo, iż swego czasu, wydane było zarządzenie, aby meldunki wszystkich Müllerów bezzwłocznie nam komunikować. Oficyał miał za dużo z tem roboty i po kilku tygodniach dał pokój. To nie tak łatwo, panie, złapać złoczyńców, jak się to ludziom zdaje...

Opowski wracał z biura komisarza policyi głęboko zamyślony. Odczuwał głęboki żal do Janinchen, że mu tak mało okazała ufności. Powtarzał jednak ze złością, uderzając laską o kamienie trotoaru: „A to kanalje! A to łotuy!" Od czasu do czasu przebiegł mu tylko po twarzy błysk radości i uśmiech szczęśliwy. Myślał wtedy o tem, że księżna Starosłupska będzie umiała być mu wdzięczną za zatrzymanie w tajemnicy całej tej kompromitującej historyi, i obliczał już cyframi zyski, jakich się po tej wdzięczności spodziewał.

W hotelu czekała Opowskiego nowa niespodzianka — tym razem — przyjemna. Zastał na stole list i pudełko. Otworzywszy list, zaraz po pierwszych słowach zrozumiał, że list jest od Janinki. List brzmiał jak następuje:

„Interesa nasze ułożyły się w ten sposób, że zmuszeni jesteśmy wyjechać z Wiednia dość niespodziewanie i nagle i że nie możemy podać panu naszego adresu. Niewiem nawet, czy się kiedykolwiek z sobą zobaczymy. Sympatya, jaką pan mi okazywałeś, ujęła mnie wszakże tak bardzo, że trudnoby mi było rozstać się z panem, bez kilku słów pożegnania.

„Ofiarowywałeś mi pan swoje nazwisko. Nie mogłam go przyjąć, ponieważ mógłbyś pan mieć kiedykolwiek pretensye do księżnej Starosłupskiej, w razie, gdybyś się pan w czemkolwiek na mnie zawiódł lub nie czuł się szczęśliwym. Dla księżnej mam jednak tyle powodów do wdzięczności za to, że nam pana przysłała, że nie przebaczyłabym sobie nigdy, gdybym nadużyła jej zaufania...

„Między przedstawionymi mi przez pana młodymi ludźmi znalazł się jeden, na którym głębsze niż na kimkolwiek (nie wyłączając pana) uczyniłam wrażenie. Czy to wrażenie przetrwa chwilowy flirt, to dopiero okaże przyszłość. Jeżeli tak, to zapewne spotkam pana jeszcze w życiu, z innem nazwiskiem i w innej skórze.

„Na razie mam do pana małą prośbę. Oto cokolwiek się stanie po moim wyjeździe, zechciej pan dołożyć wszystkich starań, aby żadna okoliczność, pozostająca z tym wyjazdem w jakimkolwiek związku nie nabrała rozgłosu, nie przedostała się do dzienników, nie była przedmiotem plotek i tym podobnie. Jeżeli się to panu uda, zjawi się u pana za sześć miesięcy człowiek który panu wypłaci tytułem nagrody za pańskie trudy kwotę dziewięciu tysięcy guldenów.

„Na razie przyjm pan tę drobną pamiątkę od przyjaciółki na której wdzięczności pan się z pewnością nie zawiedzie".

W pudełku znajdował się wspaniały brylantowy pierścionek znacznej wartości z wyrytym wewnątrz napisem: „Od Janiny Izabelli — przez wdzięczność".

(C. d. n.) *Wacław Pancerz.*

na skamieniałych z przerażenia Niemców.

Ludzie przywykli byli do bitew, rzezi i krwi, a jednak upadły w nich serca tak dalece, że nawet, gdy odrętwienie minęło, poczęli się cofać i pierzchać, jak stado owiec pierzcha przed wilkiem, który jednem uderzeniem kłów zabija. Sala zabrzmiała okrzykami przerażenia, tupotem nóg ludzkich, brzękiem przewracanych naczyń, wyciem pachołków, rykiem niedźwiedzia, który wyrwawszy się z rąk skomorocha, począł wdrapywać się na wysokie okno, i rozpaczliwem wołaniem o zbroje, o tarcze, o miecze i kusze. Zabłysła wreszcie broń, i kilkadziesiąt ostrzy skierowało się ku Jurandowi, lecz on, nie baczny na nic, nawpół obłąkany, sam skoczył ku nim, i rozpoczęła się walka dzika, niesłychana, podobniejsza do rzezi, niż do orężnej rozprawy. Młody i zapalczywy brat Gotfryd pierwszy zastąpił drogę Jurandowi, lecz ów odwalił mu błyskawicą miecza głowę wraz z ręką i łopatką; za nim padł z jego ręki kapitan łuczników i ekonom zamkowy, von Bracht i Anglik Hugeus, który, choć niebardzo rozumiał o co chodzi, litował się jednak nad Jurandem i jego męką, a wydobył oręż dopiero po zabiciu Danwelda. Inni, widząc straszliwą siłę i rozpętanie męża, zbili się w kupę, by razem stawić opór, ale sposób ten gorszą sprowadził klęskę, gdyż on z włosem zjeżonym na głowie, z obłąkanemi oczyma, cały oblany krwią i krwią dyszący, rozhukany, zapamiętały, łamał, rozrywał i rozcinał strasznemi cięciami miecza tę zbitą ciżbę, waląc ludzi na podłogę spluskaną posoką, jak burza wali krzewy i drzewa. I przyszła znów chwila okropnej trwogi, w której zdawało się, że ten straszliwy Mazur sam jeden wytnie i wymorduje tych wszystkich ludzi, i że równie jak wrzaskliwa psiarnia nie może bez pomocy strzelców pokonać srogiego odyńca, tak i ci zbrojni Niemcy do tego stopnia nie mogą się zrównać z jego potęgą i wściekłością, że walka z nim jest tylko dla nich śmiercią i zagubą.

— Rozprószyć się! otoczyć go! z tyłu razić! — krzyknął stary Zygfryd de Loeve.

Więc rozbiegli się po sali jak rozprasza się stado szpaków na polu, na które runie z góry jastrząb krzywodzióby, lecz nie mogli go otoczyć, albowiem w szale bojowym, zamiast szukać miejsca do obrony, począł ich gonić wokół ścian i kogo dognał — ten marł, jakby rażony gromem. Upokorzenie, rozpacz, zawiedziona nadzieja, zmienione w jedną żądzę krwi, zdawały się mnożyć w dziesięcioro jego okrutną przyrodzoną siłę. Mieczem, do którego najtęższi między Krzyżaki mocarze potrzebowali obu rąk, władał jak piórem, jedną. Nie szukał życia, nie szukał ocalenia, nie szukał nawet zwycięztwa, szukał pomsty i jako ogień, albo jako rzeka, która zerwawszy tamy, niszczy ślepo wszystko, co jej opór stawi, tak i on, straszliwy, zaślepiony niszczyciel — porywał, łamał, deptał, mordował i gasił żywoty ludzkie.

Nie mogli go razić przez plecy, gdyż z początku nie mogli go dognać, a przytem pospolici żołdacy bali się zbliżać nawet z tyłu, rozumiejąc, że gdyby się obrócił, żadna moc ludzka nie wyrwie ich śmierci. Innych chwyciło zupełne przerażenie na myśl, że zwykły mąż nie mógłby sprawić tylu klęsk, i że mają do czynienia z człowiekiem, któremu jakieś nadludzkie siły w pomoc przychodzą.

Lecz stary Zygfryd, a z nim brat Rotgier wpadli na galeryę, która biegła ponad wielkiemi oknami sali, i poczęli nawoływać i innych, aby chronili się za nimi, ci zaś czynili to skwapliwie tak, że na wązkich schodkach przypychali się wzajem, pragnąc jak najprędzej dostać się na górę i stamtąd razić mocarza, z którym wszelka walka wręcz okazywała się niepodobną. Wreszcie ostatni zatrzasnął drzwi, prowadzące na chór, i Jurand pozostał sam na dole. Z galeryi ozwały się okrzyki radości, tryumfu, i wnet poczęły lecieć na rycerza dębowe ciężkie żydle, ławy i żelazne kumy od pochodni. Jeden z pocisków trafił go w czoło nad brwiami i zalał mu krwią twarz. Jednocześnie rozwarły się wielkie drzwi wchodowe, i przywołani przez górne okno knechci wpadli hurmem do sali, zbrojni w dzidy, halabardy, topory, kusze, w ostrokoły, drągi, powrozy i we wszelką broń, jaką każdy mógł naprędce pochwycić.

A szalony Jurand otarł lewą ręką krew z twarzy, aby nie ćmiła mu wzroku, zebrał się w sobie — i rzucił na cały tłum. W sali rozległy się znów jęki, szczęk żelaza, zgrzyt zębów i przeraźliwe głosy mordowanych mężów".

Danusia odbitą została wreszcie przez ubóstwiającego ją i poślubionego jej rycerza Zbyszka — ale znaleziono ją już obłąkaną. Zanim zrospaczony Zbyszko dowiózł ją do ojcowskiego dworca i oddał ojcu, którego Krzyżacy z wyłupionemi wypuścili oczyma, — Danusia w drodze umarła.

„Niewiasty zamknęły jej powieki, a następnie poszły po kwiaty na łąkę. Pachołcy udali się ich śladem — i tak chodzili w słońcu, wśród bujnych traw, podobni do duchów polnych, pochylając się co chwila i płacząc, albowiem w sercach mieli litość i żal. Zbyszko klęczał w cieniu przy noszach, z głową na kolanach Danusi, bez ruchu i słowa, sam jak martwy, a oni krążyli to bliżej, to dalej, rwąc złoty kaczeniec i dzwonki, i obficie rosnące różowe smółki i białą, pachnącą miodem drobniczkę. W wilgotnych dołkach znaleźli też lilie polne, a na miedzy przy ugorze janowiec. Aż, gdy już mieli pełne naręcza, otoczyli smutnym korowodem nosze i poczęli je maić. Pokryli więc prawie całkiem kwieciem i ziółmi zwłoki zmarłej, nie zasłaniając tylko twarzy, która wśród dzwonków i lilii bielała, cicha upojona snem nieprzespanym, pogodna i poprostu anielska.

Do Spychowa nie było nawet i mili, więc po niejakim czasie, gdy im smutek i boleść łzami spłynęły, podnieśli nosze i ruszyli ku borom, od których zaczynały się już Jurandowe ziemie.

Pachołcy wiedli za orszakiem konie. Sam Zbyszko niósł w głowach nosze, a niewiasty, obarczone zbywającymi pękami ziół i kwiatów, śpiewały na przedzie pieśni pobożne — i tak zwolna szli i szli między zieloną łąką, a równym szarym ugorem, jakby jaka procesya żałosna.

Na modrem niebie nie było żadnej chmurki, i świat cały wygrzewał się w złotym blasku słonecznym.

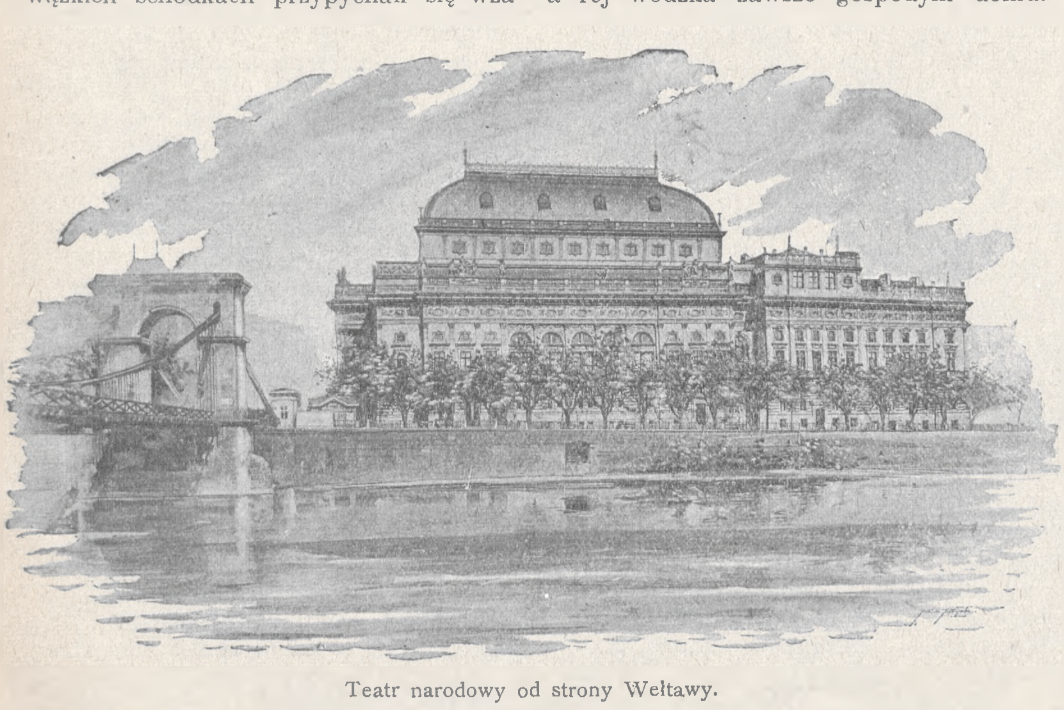
Emilia Sánchez Pastor.

„WŁAŚCICIELKA PŁASZCZA".

Humoreska tłomaczona z hiszpańskiego.

„Zle mówić o bliźnim" — prawiła zwykle Donna Tomasa — jest wprawdzie grzechem, lecz dla mnie niema w życiu nic milszego nad opowiadania tego rodzaju".

Donna Tomasa była sędziną w Arriola, to znaczy, była małżonką powiatowego sędziego. W jej domu odbywały się wesołe zabawy; było na nich gwarno i wesoło, a rej wodziła zawsze gospodyni domu.



Teatr narodowy od strony Weltawy.

Kto tylko się chciał czegoś dowiedzieć o małych czy wielkich przywarach mieszkańców prowincyonalnej mieściny, potrzebował tylko jeden kwadrans spędzić na rozmowie z szanowną sędziną w Arriola. Donna Tomasa miała bogaty zasób wyrazów, cięty języczek, łatwość wysłowienia się, a w sądach swoich odznaczała się nieprzebłaganą bezwzględnością; dość często wśród opowiadania zalewała się łzami. Donna Tomasa zawsze twierdziła, że ona sama nie wymyśla żadnych plotek, tylko to powtarza, co od innych słyszała. Opowiadania swoje zwykle kończyła sentencyą: „Niech ludzie nic złego nie robią, to też nikt nie będzie miał o nich nic do opowiadania".



Karolowy zamek.

Świętemi dla niej były nauki filozoficzne, zawarte np. w takich przysłowiach ludowych: „Niema dymu bez ognia"... „Kto postępuje uczciwie, niema się czego obawiać" i tp.

Pewnego dnia przybył do miasteczka porucznik kawaleryi, aby zabrać z sobą transport rekrutów. Mieszkający w Madrycie ojciec porucznika, polecił mu odwiedzić sędziego i jego rodzinę, z którą żył niegdyś w zażyłych stosunkach. Jako dobry i posłuszny syn, wypełnił porucznik życzenie ojca, lecz zastał tylko — Donnę Tomasę... Pan sędzia z córką Luizą wyszedł przed chwilą na przechadzkę.

To też pani sędzina skorzystała ze sposobności, aby się swoją swadą popisać przed porucznikiem. Gdy oficer chciał się rychło pożegnać z wymowną gospodynią domu, pani Tomasa żądna zaznajomienia gościa z miejscowymi stosunkami zatrzymywała go niemal gwałtem:

— Jak pan dłużej pobędziesz w naszem mieście, przekonasz się pan, jakie tu są ładne panny.

— Z żalem muszę wyznać, że nie będę miał sposobności przekonać się o tem, — odrzekł oficer. — Dziś o 8 wieczorem odjeżdżam do Madrytu i zdaje się, nigdy tu już więcej w swem życiu nie będę.

— Wierz mi pan, mamy tu bardzo nadobne panny — ciągnęła dalej nie zrażona odpowiedzią gościa Donna Tomasa.

— Po części stwierdziłem ten fakt już dziś rano na dworcu kolejowym, gdzie widziałem cztery, czy pięć ładnych młodych panien. Zwłaszcza zaś jedna wśród nich była w eleganckim jasnym płaszczu... właśnie padał rzęsisty deszcz — istny anioł..

Teraz dopiero Donna Tomasa była w swoim żywiole.

— To mogła być tylko córka aptekarza, bo ona jedna w całem mieście ma taki płaszcz. Jest przyjaciółką mojej córki, ale — szepnęła tajemniczo do oficera pani sędzina — staram się usilnie o to, aby tę przyjaźń zerwać, gdyż ona często wyjeżdża w tym płaszczu do Madrytu, gdzie prowadzi zbyt wesołe życie. Gdybyś pan tylko zechciał, mogłabym panu o tem wiele różnych rzeczy opowiedzieć...

Oficer jednak, którego te opowiadania wcale nie zajmowały, przeprosił panią sędzinę, że z powodu braku czasu nie może czekać na jej męża i musi odejść.

Pan sędzia wróciwszy z przechadzki, bardzo żałował, że nie mógł uścisnąć dłoni syna drogiego przyjaciela, ale jeszcze bardziej krzywą minkę zrobiła panna Luiza, ponieważ rzadko jakiś gość z Madrytu, a tem więcej oficer, zaglądał do małej mieściny.

Wieczorem porucznik zjawił się na dworcu. Chwilę przed nadejściem pociągu zbliżył się do niego naczelnik stacyi i zagadnął:

— Teraz puściej jest na peronie niż było rano, w chwili pańskiego przybycia. O tej porze niema tu nigdy ani jednej z tych młodych pań, które pan rano tutaj widziałeś.

— Rzeczywiście, widziałem bardzo przystojne panny — odrzekł oficer — zwłaszcza podobała mi się ta w płaszczu...

— Ah... to jest najpiękniejsza panna w całem mieście! — zawołał urzędnik.

— Szkoda tylko, że w czasie swych wizyt w Madrycie prowadzi zbyt wesołe życie — zauważył oficer głosem człowieka, który jest zupełnie pewny tego, co mówi.

Naczelnik zrobił wielkie oczy i chciał coś odpowiedzieć, lecz w tem odezwał się świst lokomotywy nadjeżdżającego pociągu, musiał zatem pożegnać oficera i pośpieszyć do obowiązków swego urzędu.

Miesiąc minął od bytności porucznika w mieście. Donna Tomasa zrobiła niemiłe spostrzeżenie, że kobiety usuwają się od jej towarzystwa. Domu sędziego zaczęto unikać, a Luiza, która wprawdzie nie miała jeszcze narzeczonego, ale dla której dotąd ani jeden niemal tydzień nie minął, aby się ktoś o jej względy nie usiłował starać, widziała, jak ją wszyscy wielbiciele opuścili.

Donna Tomasa, która z początku nie przykładała do tego żadnej wagi, zaczęła ze zdwojoną zaciętością wygłaszać swoje wyroki potępienia. Ale obecnie ataki jej rozszerzyły się i na płeć brzydką, która dotąd cieszyła się względami pani sędziny.

To bolesne dla Donny Tomasy lekceważenie jej domu i rodziny dosięgnęło szczytu, gdy sędziostwo nie zostali zaproszeni na bal, wydawany co roku przez miejscowe Kasyno w dzień patrona miasta. Donna Tomasa wrzała ze złości, Luiza płakała rzewnemi łzami, a sędzia postanowił zażądać od wydziału Kasyna wyjaśnienia i, choćby miał stracić swoje stanowisko, powyzywać członków Wydziału na pojedynek.

Do tego jednak nie przyszło, bo proboszcz, przyjaciel sędziego jeszcze z ławy szkolnej, poprosił go do siebie i otwarcie, bez ogródek wyjaśnił mu całą aferę:

— Nie zaproszono was do kasyna, ponieważ jest rzeczą w mieście powszechnie wiadomą, że prowadzenie się Luizy w czasie jej pobytu u krewnych w Madrycie bynajmniej nie jest zbyt budujące. —

Zdawało się, że sędzia, usłyszawszy słowa proboszcza, padnie tknięty apopleksyą. Zaczął krzyczeć:

— To oszczerstwo! Moja Luiza jest czysta jak anioł!

— O tem jestem osobiście przekonany. Ponieważ jednak takie wieści chodzą po mieście, uważałam za swój obowiązek o tem cię przestrzedz, abyś mógł w ewentualnym razie odeprzeć te zarzuty.

— Kto jest autorem tych oszczerstw?

— Oficer, który przed trzema miesiącami bawił w naszem mieście w celu odwiezienia rekrutów; on to opowiadał

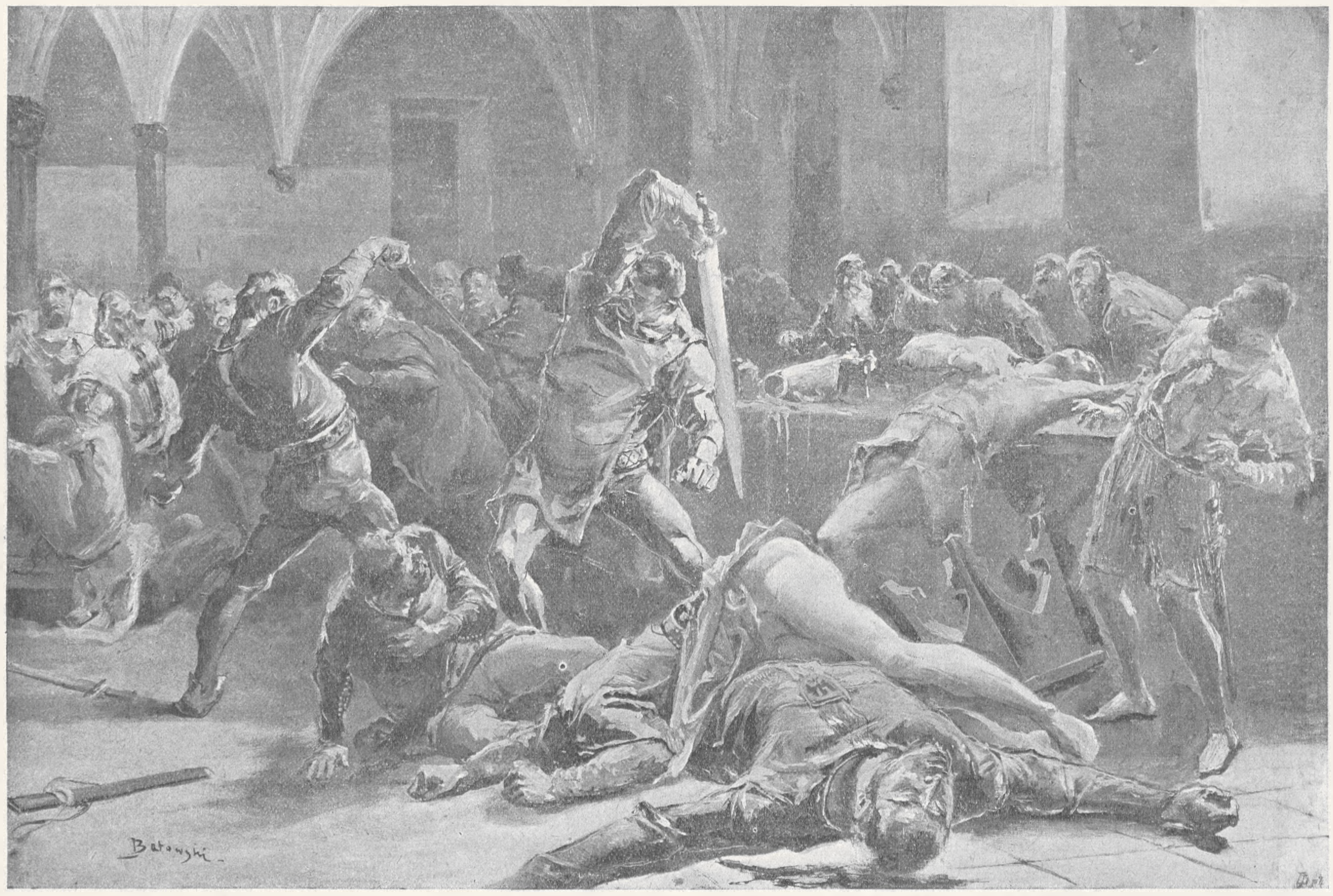
takie rzeczy o twojej córce naczelnikowi stacyi. Z tego powstały różne pogłoski, które też bardzo rychło rozeszły się po całem mieście.

Sędzia, spieszył się gorączkowo do domu, aby wszystko, co mówił proboszcz, opowiedzieć żonie. Skorzystawszy z tego, że Luiza wyszła z domu, nie omieszkał natychmiast skorzystać ze sposobności. W pierwszej chwili sędzina poprostu odchodziła od zmysłów. Przyszedłszy jednak do siebie, wylała cały potok złorzeczeń i przekleństw na oficera, na naczelnika stacyi, na całe miasto.

Odtąd Donna Tomasa nie wątpiła ani chwili, że proboszcz stworzył bajkę i popsuł nią dobrą reputacyę jej domu. Może byłaby pani sędzina jeszcze długo żyła w tem mylnem przekonaniu, gdyby jej mąż ostatecznie nie przekonał, że naczelnik powtórzył tylko rzeczywiste słowa porucznika.

Wobec tego nie pozostawało nic innego, jak listownie zapytać oficera, na jakich danych opiera swoje oszczerstwa, wymierzone przeciw córce sędziego z Arriola. List musiał być wystosowany w tonie suchym, krótko i dobitnie. Wprawdzie wydawały im się wiekami. Jak jednak wszystko ma na świecie swój koniec, tak też skończyło się i to ich oczekiwanie. Nadeszła wreszcie ta utęskniona godzina, w której listonosz doręczył im odpowiedź oficera. Oczy obojga z gorączkowością przebiegały niedługi list porucznika:

Wielmożny Panie! Zupełnie nie mogę się domyślić, kto to jest wymieniona w Pańskim liście Luiza. Co się zaś tyczy moich słów, wypowiedzianych — co przyznaję — bez namysłu w rozmowie z naczelnikiem stacyi, są one powtórzeniem tego, co chwilę przedtem słyszałem od Pańskiej żony".



Klisza z Albumu „Krzyżacy". Jurand mści się na Niemcach. Zastrzega się prawo reprodukcyi.

— Ta cała bajka jest wymysłem proboszcza — zawołała.

— Ależ, moja kochana, opamiętaj się!... Co mówisz!...

— Tak, jestto plotka, ukuta przez plebana — odpowiedziała Donna Tomasa — tak, przez księdza, który jedynie dla tego jest dotąd w mieście cierpiany, że ja nie chciałam o nim wielu rzeczy opowiadać.

Pani sędzina popuściła cugli swej wściekłości i złośliwości i bez miary jęła wymyślać proboszczowi, mięszając fakta prawdziwe ze zmyślonymi i przedstawiając nic nieznaczące okoliczności, jako ciężkie przestępstwa.

Donna Tomasa była tego zdania, iż list powinien być pełny obelg, lecz zdanie sędziego wzięło ostatecznie górę.

Wysłano przeto do porucznika pismo tej treści:

— „Wielmożny panie! Proszę mi odwrotną pocztą zakomunikować, na jakiej podstawie oczerniłeś Pan Luizę przed naczelnikiem stacyi, a jeżeli tę plotkę powtórzyłeś Pan za drugimi, zechcesz Pan podać nazwisko jej autora".

Pod listem sędzia wyraźnie podpisał swoje nazwisko i godność, jaką piastował w świecie urzędniczym.

Dwa dni oczekiwali niecierpliwie państwo sędziostwo nadejścia poczty; minuty

— Odemnie? — zawołała głosem, pełnym oburzenia sędzina. — To jest nowa bezpodstawna nikczemność!... Jakbym ja mogła własne dziecko oczerniać?! To błazen!...

— Przecież to, żeś z nim przedtem rozmawiała, jest faktem — zauważył sędzia, który znał bardzo dobrze zdolności oratorskie swej żony. — O czem zatem mówiliście?

— Mój Boże, o samych bagatelach... o moich znajomych w Madrycie, a potem... teraz przypominam sobie, on zrobił wzmiankę o córce aptekarza, którą zaraz po swym przybyciu widział na peronie. Mówił, że mu się bardzo podobała... Temu zachwytowi rychło położyłam koniec, opowiedziawszy mu, co ludzie mówią o córce aptekarza.

— Jakżeż on mógł znać córkę aptekarza, skoro on tu dopiero pierwszy raz w swem życiu przyjechał? — zapytał sędzia, przeczuwając już coś złego.

— No tak, wprawdzie jej nie znał, lecz mówił o pannie w płaszczu, a taki nosi w całem mieście tylko jedna córka aptekarza.

— Nieszczęsna! — zawołał sędzia — Pan Bóg ukarał cię za twój zły język!!

— Jak to?... Nie rozumiem tego...

— Słuchaj zatem! Gdyśmy wyszli na przechadzkę, Luiza miała na sobie nową suknię, którą dostała w upominku na swe urodziny. Po drodze spotkaliśmy znajomych, między innymi także córkę aptekarza i poszliśmy wszyscy razem na dworzec kolejowy, w pobliżu którego miałem do załatwienia pewien interes. Tymczasem spadł nagły deszcz i wtedy Anita pożyczyła Luizie swego płaszcza... Tyś zatem oczerniła własne dziecko i uczyniłaś je może już na całe życie nieszczęśliwem.

W jakiś czas potem sędzia wystarał się o przeniesienie do innego powiatu, lecz już go zła opinia córki wyprzedziła, zanim jeszcze przybył na miejsce przeznaczenia. Donna Tomasa przestała już tak wiele mówić, nie pozwalają jej na to łzy, które ciągle wylewa. Biedna Luiza pędzi życie samotnie i napróżno stara się dociec przyczyny, dla której teraz wszyscy unikają jej i odsuwają się od niej z niewytłomaczoną dla niej lękliwością. *K. W. K.*



Praska brama.

St. Wyspiański. „Legenda".

W świetlicy Wawelskiego zamku, „na podścielonych snopach zboża przykrytych skórami niedźwiedziów i wilków leży umierający Krak, siwy starzec wielkiej budowy — u stóp jego porzucona harfa".

Do okoła zamku wre bój zacięty. To wojska Ritgera usiłują dobyć grodu; za chwilę „Allemanowy ratar białowłosy" stanie już może pośrodku izby i zwycięskim mieczem położy kres życiu „starego Woja", któremu już i tak gotują „choinę na płomienne wiechy dokoła stosu" wierni do ostatka słudzy. Krak „sam się patrzał, patrzał na robotę", aż wreszcie znużony — usnął. U stóp króla siadają dwaj nadworni gęślarze, Śmiech i Łopuch, czekając aż się obudzi. Odgłosy walki cichną zwolna i w ślad zatem Krak otwiera oczy, aby pogawędzić przed zgonem z harfiarzami co „obaj przyśli" grać mu na pożegnanie i „ukołysać harfą na sen wieczny, na zgon".

Stary „ratar" umiera spokojnie, z całą bezmierną słowiańską rezygnacyą, która i dziś jeszcze otacza śmierć chłopa polskiego spokojem i powagą. Kto choć raz był przy śmiertelnem łożu włościanina, kto widział z jakim spokojem czeka on zgonu, gawędząc z kumoszkami, pocieszany przez nie nadzieją, iż „wkrótce się znowu spotkają", ten oceni całą trafność z jaką Wyspiański podchwycił i uwydatnił w tej scenie charakter duszy słowiańskiej. Od czasu do czasu budzi się jeszcze w Kraku żal za życiem, co „przewaliło się, już przeszło, jako badyle na ugorze zeschło", ale to tylko chwilowe uniesienie, po którem następuje dawny, pełen rezygnacyi spokój. „Morany nadszedł czas, a suchy Nija czeka u wezgłowia", więc próżne by były narzekania, już staremu „żadne ziele nie przyczyni dnia"...

Zachodzące słońce rzuca na izbę złotoczerwone promienie a w ich blasku majaczą się umierającemu witeziowi cienie dawnych królów tej ziemi... „Mają kłobuki z rogami jeleniów, z rogami wołów, laski Hejnału w prawicach".

„Przyszły do niego mary wojowników", powiada Łopuch — „pożalić go, za słońca czerwonym płomykiem przyszły".

. . . Witajcie
Gońcami
idziecie
zdaleka

(nuci szeptem *Śmiech*).

Witajże
za nami
las góra
i rzeka

(odpowiada *Łopuch*) nucąc śpiewnie, jak gdyby chciaj utrzymać Kraka w mniemaniu, iż „króle dawne" przyszły rzeczywiście pocieszyć go przed zgonem. — Wi-

dziadła chylą nad Krakiem „ukoronione głowy“, dają jakieś mu znaki... Wtem Śmiech „z żałości opuszcza rękę na strony; strony jękły;“ mary znikają, a Krak budzi się, pocieszony i skrzepiony snem.

Nie mogłem się powstrzymać od dokładnego, ile możności, streszczenia tej przepięknej sceny, która niezwykłym, elegijnym nastrojem i siłą wyrazu wbija się głęboko w umysł czytelnika.

A cóż dopiero za wrażenie ona wywoła, gdy do harmonii słów przybędą obrazy, pomyślane przez Wyspiańskiego prawdziwie po malarsku, — gdy martwe, drukowane słowa ożyją w ustach dobrych artystów-deklamatorów? Bo wiersz „Legendy“, czytany głośno, nabiera dźwięku i pełni dzwonu, rozbrzmiewając niesłychanie bogato i oryginalnie zarazem, podczas gdy na oko, w cichem czytaniu, może się wydawać nawet nieco twardym. Za dowód mogą służyć dwie przepyszne ballady, wplecione w dalszą rozmowę Kraka z gęślarzami.

Pierwsza z nich, opiewająca śmierć dwóch synów Kraka, zakochanych w Wandzie, która, według autora, była rusałką wiślaną, znalezioną przez żonę starego króla „na wiślanych moczarach“, brzmi jak następuje:

Łopuch (uderza w struny).
„—brat od miecza zabity,
miecz u ciebie ukryty
pod kożuchem.
Ty idziesz za marami,
zawodzisz, ręce łamiesz,
brata płaczesz, a kłamiesz“.
Śmiech (uderza w struny).
„—siostrzyco urodziwa
ty jedna nieszczęśliwa
przyczyną,
że była z bratem zwada,
że brat od miecza pada;
mnieś twoich ust broniła
a jemuś była rada,
miłośna“.
Łopuch (uderza w strony.)
„—ja jemu byłam rada
o mnie to z bratem zwada
tyś zabił
brat niech mi miecz ostawi,
co krwią się bratnią krwawi,
do rąk poda“.
Śmiech (uderza w strony).
„siostro, siostro miecz kuty
poco tuleje zbywasz,
poco ostrza dobywasz,
oczy sępie zachodzą ci mgławo“.
Łopuch (uderza w strony).
„twe oczy zajdą mgławo,
jak z ciebie krwi utoczę,
zabiłeś ty starszego
legnij od ciosu mego;
miec kowan o krzemiony
po rękojeść, po koral wprawiony,
lela, lela u skał
gdzie Żmij leżysko miał“.
Smiech (uderza w strony)
„ja ginę, a ty pomnij
krasa, młoda, urodna —
matka nam powiadała,
że cię znajdę chowała
porzuconą w szuwarach,
na wiślanych moczarach:
tyś jest rusalna wodna
o ciebie się upomni
woda . . . . .“

Krak, wzburzony zrazu temi smutnemi wspomnieniami uspokaja się już zwolna pod wpływem perswazyi Smiecha, gdy nagle wbiega Wanda, „w zbrojej w kożuchu“. Zeszła z wałów, bo „czarna chmur opona przeleciała jej drogę, ptaków niosąc szarych skrzydlaty rój na wróżbę złą“. A „czarny chmur całun twarz brata zabitą, ukazał jej oczom struchłałym....“ Daremne prośby i namowy Kraka, aby szła walczyć i przewodzić wojskom. Wanda czuje się winną śmierci dwóch ludzi, skalała ręce w krwi braterskiej, a tutaj do zwycięstwa, trzeba „rąk czystych i czoła bez plam“. Zamiast wzniecać bojowy zapał tłumów, sieje trwogę między męże zbrojne lękiem, którego nie może się pozbyć. W chwili gdy trzeba hartu i siły ducha, budzi się w Wandzie natura kobieca, pragnąca śpiewów i „lubych czułych słów....“

Kraka gniewa słabość tej, co miała mu „starczyć za syny“, jeszcze raz próbuje obudzić w niej męstwo i odwagę, ale wreszcie, widząc iż daremnie by się trudził, daje za wygraną.

. . . .

Krak' (rozdrażniony)
a to grajcie wy, dwaj starzy,
niech król mrze przy dźwięku; —
Niech w harf lubym, tęsknym jęku
budzi się królewna.
(drwiąco)
Skoro w niej się chowa
taka dusza śpiewna,
że jej trzeba grać jak dziecku,
utulić kolebać,
grajcie
(z patosem)
niech Wawel leci w gruzy,
niech się nie gród Kraka dumny burzy,
gdy mrze król — Krak, ostatni Wój
i niema komu pójść na bój;
(ze zgrozą)
jęk stron niech idzie w pokolenia,
niech im nasz śpiew
jak broń jedyna
ostatnie, jak spuścizna;
cała ta góra, skały, Wisła
niechże ten śpiew lubiony
przez wieki przypomina;
graj stary....
(zapada w zadumę)

. . . .

Śmiech (uderza w harfę)
na strony naprężone
łzy cieką,
strony łzami trącone
jęk wleką,
w dźwięków roju
i razem z mymi łzami
płaczą harfy dźwiękami;
jęcz harfo, drżyjcie strony
w coraz głośniejsze tony,
jak głośne surmy boju;
bohatyr, król pokoju
po trudach, troskach, znoju
odchodzi w ciemną dal;
na drogę na wyprawę
przez czarnych morze fal,
daję mu jęki łzawe
i strón dźwięczący żal.
Łopuch (uderza w harfę)
daję mu jęki łzawe
na drogę, na wyprawę
i śpiewny nucę żal.
(słychać walkę od zewnątrz).
(Wanda zrywa się, patrzy ode drzwi na pole)
Śmiech (uderza w strony)
nie tam gdzie walka wre,
skąd słychać szczęk oręża
kraj kona, wróg zwycięża;



Katedra na zamku w Hradczynie.

Łopuch (uderza w harfę).
Gdzie drogę, gdzie wyprawę
powiedzie Król i Wój
w jakie zapasy krwawe,
na jaki krwawy bój;
na wyprawę, na drogę
jakie zbrojne rycerze
w orszak długi zabierze
w strzały, miecze, pożogę,
po sławę.
Śmiech (uderza w harfę)
bohatyr, król pokoju
po trudach, troskach, znoju
odchodzi w ciemną dal;
droga to jest daleka
przez czarnych morze fal;
na drogę, na wyprawę
stroję mu strony łzawe
i łez mu rzucam żal.
tu z siwej głowy
usuwa się korona,
tu wróg zwycięża, tu kraj kona.

. . . .

bohatyr, król pokoju
po trudach, troskach, znoju
odchodzi w ciemną dal,
na drogę, na wyprawę
przez czarnych morze fal,
daję mu jęki łzawe
i strón dźwięczący żal.
Łopuch (uderza w harfę)
zachodzi słońce krwawe
na złotych rzekę fal,
w falach się nurza łzawe
opada w mroków dal.

. . . .

. . . .



Klisza z Albumu „Krzyżacy“. Pogrzeb Danusi. Zastrzega się prawo reprodukcyi

Przy dźwiękach pieśni smutek Wandy roztapia się we łzach.... Gęślarze zaczynają teraz balladę o smoku wawelskim a przy ostatnich jej słowach, spostrzegają iż Krak zakończył życie.

Pełne zgrozy milczenie przerywają krzyki dochodzące od wałów. Ritger zdobył już zamek i pędzi mordując wszystkich co mu stają na drodze. — Za chwilę wedrze się do świetlicy, pochwyci Wandę, shańbi zwłoki królewskie.....

W tej strasznej chwili Łopuch podszeptywa Wandzie ostatni środek ratunku:

„ktoby się Żywi sprzysiągł cały,
czarówby dziwną moc posiadał,
ratarów obcych precz wypędził
odegnał za wały,
starego króla nie dał z cześci
odzierać."

Wanda wzdraga się i waha, ale widok nieprzyjaciół szturmujących już bramę zamkową, przemaga bojaźń. Czyżby miała wpaść żywcem w ręce Ritgera, na wstyd i pohańbienie, czyżby miała pozwolić na to, aby trupa „ojca, króla, psy dzikie rozszarpały w polu"? Nie! Raczej „poślubi swe dziewicze ciało" Żywi, Krasopani, poświęci siebie, zmazując w ten sposób winę morderstwa i za cenę swego życia uratuje kraj. Pewną ręką toczy Wanda krew łani na ofiarę, błagając strasznej bogini o pomoc.

W tej chwili zrywa się nawałnica z ulewą i piorunami, która odpędza najeźdźców od zamku.

Wanda zostaje sama, „usiada obok zwłoków króla na podmurowaniu komina i płacze — ulewa zwolna cichnie".

Wanda: zapadam w senną noc, w om-
[dlałość
na oczach ciążą mi powieki
i płakać chcę i jęczeć,
jękami, płaczem dźwięczeć.
. . . . . .
tam Wisła szumiąc smutna
o białe skały tłucze
nory podskalne płucze
i płakać chce i jęczeć
jękami, płaczem dźwięczeć,
zawodzi w głos
srebrzysty włos
we skargach rwie okrutna
. . . . . .
i płynie w dal
jękliwych fal
unosząc z sobą męty —
płynąca mętów rzuci żal
w podziemny kraj zaklęty,
gdzie w głębi wód
rusalny lud
pałace stawia lśniące,
kędy wieczystej sławy gród
i Słońce nocą śpiące
. . . . . .
— przecz falo, przecz
pod zamek mój
o skały bijesz smutnie.
— płacząca w głos
srebrzysty włos
we skargach rwiesz okrutna.
— król skonał król
w żałobny ton
jękliwe płaczą lutnie.
— rusałka płacze
króla zgon
w perliste łzy rozrzutna.
— piersi swe białe
rani o skałę
i ręce łamie smutna.
—
leć żalu, leć
przez łany, przez kurhany
nuć tęskny, nuć spłakany
i łzami w oczach świeć.
—
łez rosę rzuć na łany
na łąki, na kurhany
łez perły rzuć do fal
i płyń z falami w dal.
—
przez łąki jaskrem złote
przez lasów śmigłe sosny
szum tęskny, szum żałosny
i tul je w mgieł tęsknotę.

Księżyc wschodzi nad Wisłą i rzuca promienie ku zasypiającej Wandzie. Zdała słychać piszczałkę i powoli, w fantastycznym korowodzie wsuwają się dziwaczne postaci Wodników, Rusałek, Wilkołaków i innych straszydeł. Prowadzi je stary pastuch grający na piszczałce. Po dłuższej, dokładnie przez autora opisanej pantominie, zwłoki Kraka zostają przywdziane w symboliczny strój królewski i cały pochód oddala się, unosząc króla ku Wiśle na której dnie pragnął spoczywać, jako

„pan swego zamku,
król swego narodu".

Rusałki mijając Wandę wkładają jej na włosy kwiat czaru, który da jej wszystko, czego zapragnie, władzę — potęgę, zwycięstwo w boju. Lecz

„kto się w krasy
kwiat ubiera
do trzeciego dnia umiera
wodzie zaprzysiężony....

Siła czaru zaczyna działać budząc we Wandzie moc ducha; wchodzącym z chłopami gęślarzom każe przybrać się w zbroję i na czele wojska spieszy wypędzić z kraju zwycięskich dotąd Allemanów. Na tem kończy się akt pierwszy.

Gdyby Wyspiański zdołał utrzymać się do końca na wysokości nastroju, której dosięgnął w powyższej streszczonej pierwszej części „Legendy", literatura polska byłaby bogatszą o jedno arcydzieło więcej.

Niestety, stało się inaczej. Akt drugi, rozgrywający się na dnie Wisły, gdzie pośród pląsających rusałek i wilkołaków śpią pomarli rycerze i Krak, skamieniały, w koronie poprzerastanej koralami — zostaje poza pierwszym daleko w tyle. Żywa akcya ustępuje miejsca rozwlekłym opowiadaniom, niema silnych kontrastów, wypływających z psychologii postaci, gdyż autor wyprowadza na scenę przeważnie rusałki, wodniki oraz tym podobne fantastyczne i nie człowiecze osobistości, których pląsy, skoki i pieśni muszą w końcu znużyć widza, zwłaszcza gdy trwają nieco za długo. Nawet język, wspaniały i potężny w pierwszej części, robi takie wrażenie, jak gdyby Wyspiański nie mógł wpaść na właściwy ton. Cały akt pierwszy jest pisany wierszem tak dźwięcznym, iż podkładanie podeń melodyi uważałbym za popsucie wspaniałej harmonii słów, która sama w sobie jest już cudowną muzyką, druga przeciwnie robi na mnie wrażenie libretta do opery, które wymaga jeszcze muzycznego uzupełnienia. Treść drugiej części przedstawia się następująco:

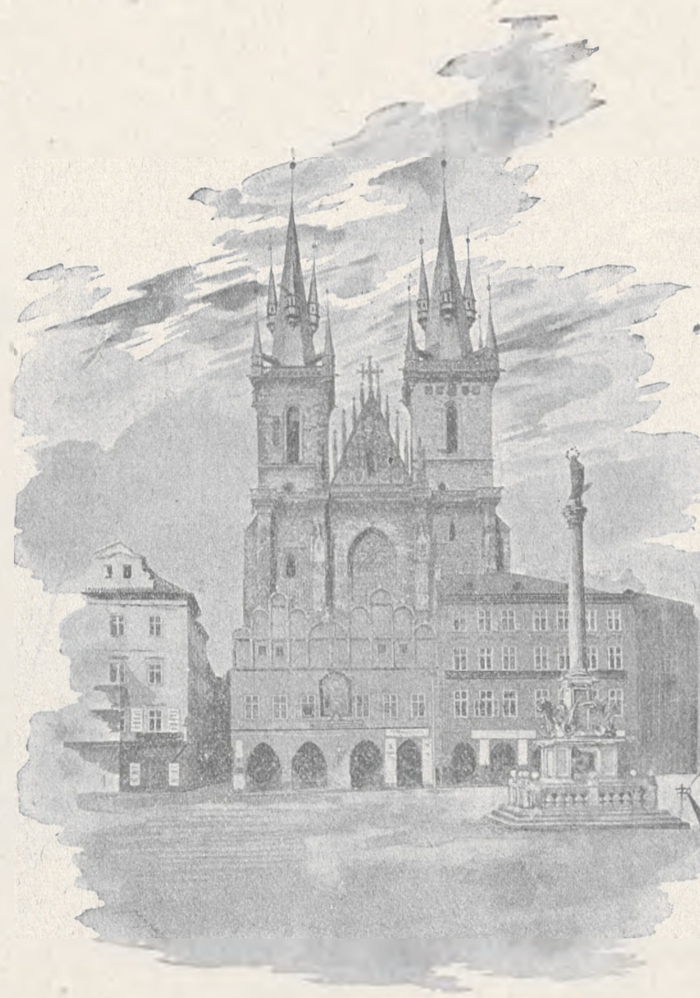
Jedna z nimf wodnych, Rudawianka, ucieka przed krwią, spływającą w głębie Rudawy z brzegów, na których Wanda stoczyła bitwę z najeźdźcami. Uciekając zaplątuje się w koronę Kraka i budzi go ze snu. Obudzony król słyszy z radosnem zdziwieniem, iż jakiś wódz Polan zwyciężył Ritgera; uciecha jego wzmaga się jeszcze gdy patrząc do góry, poznaje w osobie mniemanego króla swoją ulubioną Wandę.

Lud zgromadzony do koła bohaterki uznaje ją za panią, lecz przysięga uczyniona Żywi musi być dotrzymaną... W zamian za czar, który dał Wandzie moc oswobodzenia kraju od hord allemańskich, musi ona zwrócić Wiśle „krasy wianek" błyszczący jej nad czołem, oddając wraz z nim i życie swoje w ofierze. Prom, na który wstępuje bohaterka zostaje zniszczony przez wilkołaków, a Wanda skacze w Wisłę i spada w objęcia rusałek, które otuliwszy ją w płaszcz kamienny układają do snu przy boku Kraka.

Sztuka kończy się śpiewem:

„płyń falo płyń, pian wodnych wał
unoszą prądy chyże
. . . .
słyń królu słyń
wieczystych chwał
rycerzu bohatyrze.

Mimo licznych usterek psujących drugi akt tego bądź co bądź niepospolitego utworu. „Legenda" jest nadzwyczaj odrębnem i wysoce poetycznem dziełem, które wywiera wielkie, przejmujące i trwałe wrażenie. Wyspiański jest bezprzecznie naturą wyjątkowo uposażoną, gdyż wybitny talent malarski łączy się w nim z niezwykłym darem słowa i poczuciem sceny, lotna i bujna wyobraźnia daje mu możność odkrywania całkiem nowych krain piękna tam, gdzie ich nikt nie mógł znaleść. Język, którym się posługuje jednoczy potęgę i miękkość z niesłychanie melodyjnem brzmieniem, a olbrzymie odczucie piękna plastycznego sprawia, iż każda niemal scena w jego dramatach jest także wspaniałym obrazem.



Kościół N. P. Maryi w Pradze.

Sposób, w jaki łączą się w jego utworach malarstwo, poezya i muzyka, (zaklęta w rytmie i dźwięku słów) — nasuwa mi na myśl „das Zusammenwirken aller Künste", ideał Wagnera. Porównanie to chroma naturalnie in puncto sztuki tonów, jeżeli jednak przypomnimy sobie, iż entuzyaści niemieccy uważają "Textbuch" wagnerowski za arcydzieło poezyi dramatycznej, niezależnie od muzyki, to obaj porównywani twórcy zbliżą się znacznie do siebie. Tylko, że na miejsce dość zawile filozofujących, całych, pół — i ćwierć bogów Wagnera, stawia Wyspiański ludzi, bliskich nam myślą i czuciem; zamiast ohydnych łamańców językowych Wagnera, mamy w „Legendzie" piękny, archaicznie brzmiący język, a monotonnością rytmu nużący „Stabreim" jest zastąpiony niesłychanie rytmicznym, pełnym melodyi wierszem. Jestem prawie pewny, iż pomysł do drugiego aktu „Legendy" zbudził się w umyśle autora pod wpływem pierwszej sceny „Złota Renu". Malarska piękność obrazu, nakreślonego ręku Wagnera musiała utkwić głęboko we wrażliwej duszy naszego poety, który, jeżeli mi wolno użyć tego wyrażenia, „zlokalizował" następnie całą rzecz, przenosząc ją na grunt swojski. Ren zamienił się w Wisłę, córki Renu w Rusałki, Alberich umizgający się do nimf — w wilkołaka, który czyni to samo odnośnie do dziewcząt uplatających prom w kwiaty. Nawet samo „złoto Renu" rozświetlające głębie rzeki przypomina się nam dokładnie, gdy czytamy jak Rusał każe „przysłonić skarby na głębinie"...

Ale pierwszy akt „Legendy" pomyślany i wykonany na wskroś oryginalnie i w wysoce artystyczny sposób, sprawia iż musi się zapomnieć o mimowolnych i przypadkowych zapewne reminiscencyach drugiego. Przytem Wyspiański zstępuje do zamkniętych dla mistrza z Bayreuth głębin duszy ludzkiej, a już głębokiem odczuciem przyrody — przerasta go o całą głowę. Lasy, góry i rzeki Wagnera, sprawiają na ludziach nie dotkniętych fanatyzmem uwielbienia dla „muzyka przyszłości" wrażenie przepysznie wykonanych dekoracyj teatralnych; twórca „Legendy" ukochał głęboko przyrodę, umie się patrzyć na nią i słuchać jej tajemniczych odgłosów, a to, co widział i słyszał, przekazuje czytelnikowi w prostej, naturalnej lecz wysoce artystycznej formie. Księżyc „znaczący szlak srebrny" po podłodze, dziewanny, co „prężą ku słońcu żółte badyle", Wisła zaludniona tysiącem fantastycznych postaci, to nie na zimno robione efekta teatralne, lecz liryczny wylew uwielbienia jakie żywi poeta-malarz dla piękna rozlanego w naturze. Podobnie szczerego umiłowania przyrody daremnie byśmy szukali u Wagnera.

Nad Wyspiańskim możnaby już dzisiaj, gdy jest ledwie u początku swojej literackiej karyery, robić specyalne studya. Zasługuje on na to w zupełności — zarówno oryginalnością i głębokością pomysłów literackich, jak i wysoce artystycznem ich wykonaniem, zwłaszcza jeżeli chodzi o utwory sceniczne, które postawiły go, mojem zdaniem, na czele współczesnych dramaturgów w Polsce. Żywiołowa siła tryskająca z dzieł Wyspiańskiego i cały ustrój tej wspaniałej organizacyi twórczej jest rękojmią, iż odzierży on i nadal to szturmem zdobyte stanowisko.

Na zakończenie jeszcze słów parę.

Uparci klasyfikatorzy literaccy wsuwają autora „Legendy" w szufladkę z napisem: „młody Kraków". Mojem zdaniem, choćbyśmy się nawet zgodzili na podobną segregacyę talentów, przylepianie tej etykiety Wyspiańskiemu jest całkiem niesłuszne i powierzchowne. Z autorami krakowskimi łączy go tylko wspólne miejsce pobytu, lecz zdrowa i silna jego muza nie wie nic o sztucznym pessymiźmie, za włosy ściąganych nastrojach i sexualności, tej głównej mistrzyni życia i dzieł t. zw. „młodej Polski".

Wyspiański nie należy do żadnej szkoły i żadnej też nie stworzy, gdyż jest z jednej strony zanadto dojrzały i zrównoważony pod względem artystycznym, z drugiej zaś zamało zmanierowany, aby go można naśladować. Męski, jędrny, poważny ton jego lutni, nie da literackim drozdom materyału do podrzeźniania, gdyż tylko zewnętrzne, uboczne a mimo to jaskrawe cechy danej twórczości odbijają się w zwierciadełkach podstawianych na chybił trafił przez skrzętnych imitatorów. To też bądźmy spokojni, niezwykłe rozrodzenie się literackiej familii Przybyszewskich nie powtórzy się z Wyspiańskim. W poezyi tylko karykatury mogą być ponownie skarykaturowane.

Ze świata kulis.



Paulina Wojnowska
w początkach zawodu scenicznego.

Mało która z artystek polskich może się pochlubić tak świetnymi jak Wojnowska warunkami scenicznymi do ról charakterystycznych. Wyniosła i korpulentna postawa, niezwykle wyrazista twarz i głos o brzmieniu kontr-altowem, stanowią przepyszny i bogaty materyał do postaci przez nią kreowanych ale to właśnie bogactwo środków mogłoby doprowadzić do monotonii z jednej, a przesady z drugiej strony, gdyby nie ogromny talent i miara artystyczna naszej czcigodnej jubilatki, które wyciskają na jej rolach piętno wysokiego artyzmu i dobrego smaku.

Powiedzieliśmy: — jubilatki, gdyż jak wiadomo, Wojnowska obchodziła w tym roku 30-letni jubileusz pracy w zawodzie scenicznym. Ta okoliczność uwalnia nas od powtarzania zamieszczonego już w swoim czasie na szpaltach „Głosu Narodu" curiculum vitae naszej „charakterystycznej", wspomnimy tylko, iż urodziła się we Lwowie i tam też stawiała pierwsze kroki na scenie, jako — chórzystka operetki! Dopiero przypadek zrządził, iż otrzymała rolę jednej z czarownic w „Makbecie" a uzyskawszy w niej uznanie i zachętę od bawiącego wówczas na gościnnych występach Królikowskiego, poświęciła się wydziałowi ról charakterystycznych w dramacie i komedyi.

Rok 1872 zastaje Wojnowską w Krakowie, którému do dziś dnia pozostała wierną. Cały szereg znakomitych kreacyi uczynił z niej podporę repertuaru i ulubienicę publiczności krakowskiej, która

przy każdej okazyi składa dowody prawdziwego uznania dla Jej niezwykłego talentu i wytrwałej pracy. Słuaszny rozgłos, towarzyszący stale występom czcigodnej jubilatki wybiegł daleko po za granice Kra-



Paulina Wojnowska w »Łobzowianach«.

kowa, a ostatnie występy trupy krakowskiej we Lwowie zjednały Wojnowskiej jednomyślne gorące pochwały zarówno ze strony publiczności jak i krytyki. Miejmy nadzieję, iż wyborna artystka przez długie, długie lata będzie ozdobą naszego teatru, w którym jej talent do tak wspaniałego doszedł rozkwitu.

Nasza ofiarność.

Parę słów z okazyi składek na wieżę częstochowską.

W charakterze narodu polskiego najwydatniejszą rolę odgrywają uczucie i fantazya. Tysiączne nieszczęścia i klęski spadające na nas, nie zdołały jeszcze wepchnąć tych dwóch bardzo zresztą cennych przymiotów, na właściwe im w regestrze pobudek do czynu miejsca, a skutkiem tego jest, iż dziś, taksamo jak przed stupięćdziesięciu laty uczucie bruździ nam w polityce, a fantazyą zwykliśmy się rządzić nawet w sprawach ogólno-społeczne mających znaczenie.

Za przykład niech posłuży to, co się u nas dzieje, w dziedzinie ofiarności na cele ogółu. Słyszymy ze wszech stron, iż naród polski słynie z gotowości do ofiar, dzienniki powtarzają nam to przy każdej sposobności aż do znudzenia, a jednak, przypatrzywszy się lepiej, trudno nie dostrzedz, iż nasza kieszeń jest stale zamknięta na sztuczną kłódkę literową, otwierającą się dopiero po dobraniu stosownego wyrazu.

Wyrazów takich jest kilka, a do najważniejszych należą: „honor narodu“, „patryotyczny obowiązek“, „kresy w niebezpieczeństwie“, „cześć zasłużonym“ itp.

Jeżeli na skarbonce jest odwołanie się do któregoś z tych, zresztą bardzo pięknych haseł, to można być pewnym, iż w krótkim czasie wypełni się ona po brzegi; dowodem pomnik Mickiewicza w Warszawie, gimnazyum cieszyńskie, szkoła polska w Białej, wieża częstochowska, a nawet, least not least, — Oblęgorek.... Piękne hasło wpada do ucha, duma narodowa rośnie o metr w górę.... Co? Jak? Obowiązek? Naród? Proszę, oto pieniądze.

Dalecy jesteśmy od potępiania tych wybuchów chlubnej ofiarności, które są bądź co bądź zaszczytem dla naszej solidarności narodowej. Podobne rzeczy dzieją się jednak i gdzieindziej, a różnica w tem się ukrywa, iż np. Niemcy obok takich gwałtownych przejawów dobroczynności, składają codziennie na ołtarzu dobra publicznego pewną, dajmy na to niewielką nawet kwotę, która jednak w ciągu roku dochodzi do nader pokaźnych rozmiarów, my zaś, rządząc się zasadą „albo wszystko albo nic“ urządamy od czasu do czasu gwałtowne eruppcye ofiarności, przechodząc do porządku dziennego nad mniej może szumną i wrzaskliwą, lecz korzystniejszą dla społeczeństwa drobną, powszednią dobroczynnością.

Jedynym wyjątkiem od tej reguły jest Warszawa, składająca codziennie setki rubli na wpisy dla uczniów gimnazyalnych i studentów uniwersytetu, na książki dla biednych dzieci, na kolonie wakacyjne na tyle innych pięknych celów. Ona też jedna posiada należycie zorganizowaną służbę dobroczynności publicznej co z uznaniem podnieść należy.

Po za Warszawą jednakowoż, a już specyalnie u nas w Galicyi panują pod tym względem opłakane stosunki. Społeczeństwo jest wprost głuche na wszelkie wezwania do składek na zwykłe cele dobra publicznego, nie noszące na sobie cechy jakiegokolwiek uczuciowego wybuchu lub narodowej manifestacyi. Stąd też dziwaczny galimatyas pojęć o tem, co należy do obowiązków narodowych, a czego do ich rzędu zaliczać nie potrzeba, mający za skutek takie np. wypadki, iż grosz publiczny leje się strugą na inne cele, podczas gdy tysiące powodzian daremnie czeka na suchy kawałek chleba....

Co więcej, nawet sporadyczne wybuchy ofiarności na tle uczuciowem, mają trwałość słomianego ognia. Widać, że duch pospolitego ruszenia za Rzeczypospolitej pokutuje jeszcze ciągle w potomkach dawnych obywateli. „Pierwszy impet“ o którym wspomina Sienkiewicz w „Potopie“ odgrywa i dziś jeszcze najważniejszą rolę przy składkach na cele narodowo-społeczne. Zrazu bucha wielki płomień zapału, pieniądze lecą jak plewa, zdawałoby się, iż społeczeństwo wziąwszy zrazu taki rozpęd, potoczy się dłuższy czas po torze dobroczynności, choćby samą siłą inercyi.... Gdzie tam! już po miesiącu składki płyną dość skąpym strumieniem, po dwóch mało kto uważa za stosowne przyczynić się do zwiększenia zebranej sumy, w trzecim zaś już napewno otrąbią nową kolektę, na inny wprawdzie cel ale z tymsamym skutkiem. Za przykład niech służy sprawa utrzymania gimnazyum cieszyńskiego i kolonii wakacyjnych. Bo Polak musi być zawsze wielkim panem, choćby w miniaturze i chętnie da 5 złotych odrazu, ale za nic w świecie nie przystanie na to, by składać na jakiś cel po 40 ct. miesięcznie, gdyż taka „kapanina“ jest dlań po prostu nudną.

Tych kilka rysów charakterystycznych niech wskażą czytelnikom przyczynę, dla której wszelka akcya dobroczynna oparta na czysto społecznym lub choćby społeczno-narodowym gruncie musi u nas zawsze utykać. Pod tym względem jest jeszcze w Galicyi dużo, bardzo dużo do zrobienia, a na nieszczęście nie słychać nic o zabraniu się do pracy....

Teatry paryskie podczas wystawy.

Paryż we wrześniu.

Mimo ruchu wystawowego, mimo massy przyjezdnych, właściwy Paryż, to co się zwie „tout Paris“ znajduje się jeszcze poza murami nowożytnego Babilonu a to w Trouville, lub w innych „petits trous pas chers“, a „trottoir roulant“ i asfalty bruków paryskich zostały wielkodusznie oddane na pastwę z całego świata przybyłych gości. „Lutetia parisiorum“ nie troszczy się też o żadne uroczystości. i tp. w nadziei, że wystawa, ten olbrzymi jarmark międzynarodowy starczy za wszystko, a liczne kongresy, zjazdy, rozdzielania nagród oraz inne tłumne i hałaśliwe zebrania dozwalają ludkowi paryskiemu na wyładowanie zapasów patryotycznych uczuć i właściwego mu temperamentu. Przybysze stoją z boku, patrzą i — dziwują się.

Samo miasto podaje swym gościom zwykłą ilość mniej lub więcej pieprznych rozrywek, nowego jednak nic w tym względzie niema. Nawet Cafés concerts, ta par excellence paryska zabawa, rozwijająca się jak kwiaty w cieniu dusznych nocy letnich, nie wydały w tym roku żadnego nowego pączka, któryby mógł bądź pięknością barwy bądź egzotycznie odurzającym zapachem nęcić bywalców. Nieobecność „szykownego“ świata odbiera wszelki urok nawet najbardziej eleganckim lokalom kawiarnianym i restauracyjnym; tam gdzie w zimie odbywają się wspaniałe zabawy i niesłychane kolacye, widzi się teraz, obok przyjezdnych, jedynie opasłe postacie mieszczuchów, którzy ciągną chłodniki i poziewając czytają „Petit Journal“...

Nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe: Paryż w lecie jest zupełnie bezpieczny!

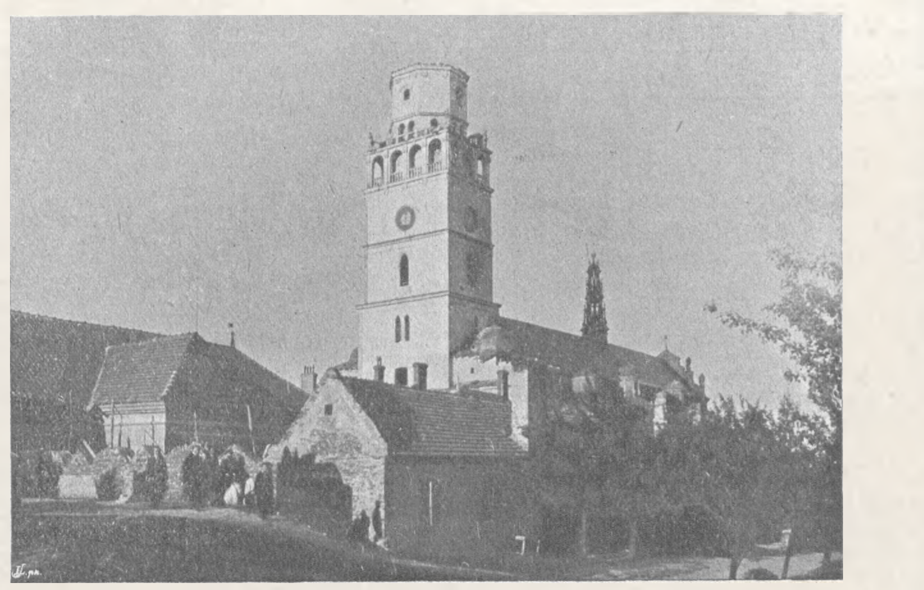
A cóż teatry?

Ha, skoro nie ma w mieście właściwej publiczności, więc, — rozumują słusznie szanowni P. T. dyrektorzy teatrów — wystarczy zupełnie, jeśli będziemy dawali same stare rzeczy. I tak się też dzieje. Ci sami przedsiębiorcy, którzy podnieśli swego czasu tak straszny krzyk, gdy ktoś tam zaproponował utworzenie „teatru wystawowego“ o repertuarze retrospektywnym, spoczywają teraz na laurach, darząc publikę oklepanym od dwóch najmniej lat repertuarem. Ale nadzieje zawiodły; jeszcze nigdy teatry paryskie nie świeciły takimi pustkami, jak tego lata, a przyczyny tego szukać należy albo w niesłychanych upałach, albo też w oziębłej, jakby znudzonej grze aktorów, zmuszonych po raz trzechsetny recytować tę samą sztukę.

Co wieczór gra Sarah Bernhardt „L' Aiglon“, Coquelin — „Cyrana“, Réjane — „Madame sans Gêne“; co wieczór „idzie“ w Chatelet czarodziejska, wspaniale zresztą wystawiona bomba „Le poudre de Perlinpimpim“, co wieczór wreszcie słyszymy w Variete dobrze znajomą nutę „Pięknej Heleny“. Opera komiczna nie chce słyszeć o niczem poza „Louise“ Charpentier'a, Comédie Française i Wielka Opera przeżuwają także swój odwieczny repertuar i t. d. i t. d.

Wobec tego trudno się dziwić iż nie czułem zbytniego pociągu ku paryskim przybytkom Melpomeny. Ale trudno być w Paryżu, i nie zwiedzić choć kilku teatrów, jakiem czołem mógłbym się pokazać na A—B lub u Schmida, nie przyniósłszy ze sobą najmniej czterech tytułów sztuk, które grają w nadsekwańskim Babilonie! To też pewnego pięknego wieczoru, uzbroiwszy się w lornetkę i dobry humor ruszyłem na chybił trafił do Palais Royal.

Grano „Le Dindon“. Po drugim akcie wyszedłem z sali, zapisując w notatniku podróżnym aforyzm: „za dużo pieprzu w scenicznej potrawie, sprowadza — mdłości“. Na drugi dzień zaglądnąłem w progi Gymnase, gdzie dawano „Le chemineau“ Jean Richepina. Imię znanego autora „Lepu“ (La Glu), którą to sztukę, przerobioną z romansu pod tymsamym tytułem widziałem w Warszawie, zwróciło moją uwagę; żałować tylko wypada, iż sztuka nie mogła tego samego dokonać.



Wieża częstochowska po pożarze.

Mimo cały szacunek dla talentu Richepina nudziłem się od początku do końca, dzieląc ten los z nielicznymi towarzyszami, a „Le chemineau“ obrzydziło mi na bardzo, bardzo długo fałszywie romantyczny modernizm, lub, jak kto woli, zmodernizowany romantyzm, w którym pływa cała pięcioaktowa sztuka.

Dopiero w teatrze Antoine'a znalazłem pożądaną rozrywkę, a dwa utwory sceniczne tamże widziane, choć nie najświeższej daty, zostawiły mi w pamięci nader miłe wrażenie.

Jednym z nich była „Blanchette“ przez M. Brieux, trzyaktowa komedya komedya, prosta nawet może zanadto prosta w założeniu, lecz dzięki znakomitej grze aktorów z Antoinem w roli starego ojca na czele, wywołująca ogromne wrażenic, drugą zaś „Boubouroche“ Courteline'a, znany mi już z desek krakowskiego teatru, w którym Desgeorges grający rolę tytułową rozśmieszał i wzruszał zarazem.

Złożywszy w ten sposób należną daninę poważnym muzom, mogłem już z czystem sumieniem wkroczyć do siedziby lżejszych cór Helikonu na Montmartre. Straszono mnie wprawdzie widmem nudy, opowiadano, że „cabarets“ i „boites“ przeżuwają osłuchany już repertuar piosnek, ale pogłoski okazały się... pogłoskami. Fursy w swojej „boite“ śpiewał z sobie tylko właściwą werwą tak świetne, aktualne „chansons“, Odette Dulac z takim szykiem prezentowała publiczności słynną swoją piosenkę „Oh j' suis bête“ a chińskie cienie, które w niesłychanie dowcipny sposób objaśniał Tursy, stojąc wśród audytoryum, były tak świetne, iż nie żałowałem wcale wieczoru spędzonego na Montmartre.

(Dokończenie nastąpi). *Z.*

Kronika literacko-artystyczna.

TEATR I MUZYKA.

* W Londynie zostanie wkrótce wystawiona opera „The fairy Queen“, utworu Henryka Purcella, jednego z największych kompozytorów angielskich zmarłego w r. 1695. Pierwsze jej przedstawienie odbyło się w r. 1692, na scenie nieistniejącego już oddawna teatru „Dorset Gardens“. Treść opery jest zaczerpnięta ze „Snu nocy letniej“ Szekspira. Jeden z badaczów historyi muzyki w Anglii, I. S. Shedlock przypomniał ją teraz muzykalnej publiczności.

* Jakiś żądny łatwej reklamki maestro włoski nazwiskiem Castagnoli skomponował znaną modlitwę królowej Małgorzaty za nieszczęśliwego jej męża na chór czterogłosowy.

* Johannes Meschaert słynny holenderski wykonawca pieśni założył w Amsterdamie kwartet wokalny.

* Król Wiktor Emanuel włoski ma być wybornym pianistą i żywo interesuje się muzyką.

* Słynny kwintet nadworny królowej Małgorzaty nie zostanie rozwiązany, jak głoszono, lecz produkcye jego będą tylko zawieszone na czas żałoby po królu Humbercie. Kierownikiem kwintetu zostaje i nadal słynny Sgambati.

* St. Louis została otwartą olbrzymia hale koncertowa. 1000 śpiewaków i orkiestra za stu ludzi może zmieścić się na podium.

* Włochy mają widocznie dosyć werystycznej blagi, gdyż objawia się tam coraz silniejszy zwrot ku dziełom starych mistrzów. W Sasso koło Bolonii wystawiono prześliczną jednoaktówkę Rossiniego, która za życia twórcy cieszyła się ogromnem powodzeniem. Tytuł je brzmi „Il Signor Bruschino“. Niezwykły sukces odniesiony i teraz przez dzieło twórcy „Wilhelma Tella“ skłonił Wenecyę do pójścia za przykładem Sasso. Nadto wystawi wenecki Theatro Fenice jednę z oper Paisiella „I giuochi di Agrigento“. Ta sama opera była graną przy otwarciu Theatro Fenice na wio-1792 roku. Tryest nie pozostanie również w tyle i wystawi z okazyi 100 jubileuszu swego „wielkiego teatru“ operę jednego ze starych mistrzów włoskich Simona Mayra. Był on mistrzem i przyjacielem Donizettiego.

* Najbliższe „Festspiele“ w Bayreuth odbędą się na przyszły rok. Program obejmie tetralogię „Pierścień Nibelnuga“, która zostanie odegraną 7 razy i „Latającego holendra“ (5 razy). Ta ostatnia opera, będzie po raz pierwszy wystawioną na scenie bayreuckiej. Artystyczne kierownictwo objął Siegfried Wagner, syn Ryszarda.

* Lodovico Alberti, kompozytor operowy włoski wystawił w Wenecyi swoją operę p. t. „Violante“. Treść libretta jest zaczerpniętą z dziejów Wenecyi około r. 1600. Powodzenie było nader średnie.

Motto: *Cudze chwalicie, swego nie znacie — Sami nie wiecie, co posiadacie.*

P. T.

Podejmując poprzednie wydawnictwo „Kraj w obrazach" z przekonaniem, że nowość ta zainteresuje najszerszy ogół, starałem się przez dokładność materyału i dbałość o estetyczną stronę wydawnictwa, na które to warunki główny kładę nacisk, odpowiedzieć zadaniu pierwszorzędnej publikacyi illustrowanej z treściwemi, możliwie dokładnemi objaśnieniami, dotyczącemi dat historycznych, tudzież szczegółów odnoszących się do przeszłości i teraźniejszego stanu danej **okolicy, miasta, gmachu** lub **zabytku historycznego,** zebranych przez pierwszorzędnych pisarzy naszych. Ukończyłem Seryę I. „Królestwo Polskie" i przystępuję do wydawnictwa Seryi II. „Galicya w obrazach".

Wydawnictwo składać się będzie z 24 do 30 zeszytów, a każdy zeszyt obejmie widoki fotodrukowe w rozmiarze $^{19}|_{24}$ ctm., a w ten sposób Galicya utworzy album z około 120 obrazów.

Odpowiedzialny redaktor na Galicyę: *Edmund Kolbuszowski.* Wydawca: *Konstanty Woźniak.*

WARUNKI PRENUMERATY:

NA

„GALICYĘ W OBRAZACH"

Cena pojedynczego zeszytu wynosi 60 hal. (groszy).

Prenumeratorzy, płacący z góry przy rozpoczęciu „Galicyi w obrazach" 15 koron (za całość) bez względu na to, że ilość zeszytów odpowiednio do materyału może być powiększona, otrzymają ozdobną okładkę za połowę ceny sprzedażnej.

Nadto za przysłaniem 2 koron na opakowanie z wysyłką, otrzymają **bezpłatnie 5 premij wartości 18 koron**

a to: obraz **„Kazanie Skargi"** z oryginału Jana Matejki wielkości ($^{48}|_{63}$ ctm.),
Album illustrowane **„Odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie",**
Album illustrowane **„Ogniem i Mieczem"** podług rysunku **Juliusza Kossaka,**
Poczet **„Królów polskich"** na kredowym papierze wielkości ($^{63}|_{5}$ ctm.)
i **100 kart korespondencyjnych z widokami krajowymi.**

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor: **Kazimierz Ehrenberg.**